

Uwaga - myśli wyjątkowo dzikie!

Czasami miewam dzikie myśli

Podobno za 60 lat rozpoczną się wojny o wodę. Za lat 40 skończą się zapasy ropy naftowej i innych paliw. Cóż, nie da się ukryć - przy okazji czytania takich wieści wykonuję szybki rachunek arytmetyczny i ... oddycham z ulgą. To nie ja.

Pewnie dlatego światowe konferencje na temat zapobiegania zmianom klimatycznym od jakiegoś czasu są w impasie. Podobny rachunek arytmetyczny wykonują bowiem premierzy i prezydenci oraz szefowie multikorporacji. Wynik mają jeszcze lepszy zważywszy na fakt, że wychodzi im przeciętnie o jakieś 20, 30 lat więcej niż mnie (w odniesieniu do ich własnego życia). I cieszyłabym się wynikiem tego prostego rachunku dłużej, gdyby nie myśl, która zaraz przyszła mi do głowy. Otóż przypomniałam sobie drzewo leżące w lesie. Ono wcale nie „umiera” (w potocznym tego słowa znaczeniu), to znaczy nie kończy się absolutnie i nieodwołalnie. W zasadzie trudno nawet uchwycić moment jakiegoś końca i początku. Ze szkoły pamiętam też, że energia nie ginie, tylko się przekształca. Wydaje się więc, że nie ma powodu sądzić, jakobyśmy wraz z końcem naszego pobytu na tym najlepszym ze światów mogli uwolnić się na zawsze i nieodwołalnie od problemów, które sami generujemy. Pofantazjujemy trochę gdyby statystyczny Kowalski brał pod uwagę taką oto perspektywę: za 60 lat i tak będę musiał (w jakiejś tam formie) żyć w świecie, który dzisiaj własnymi rękami stwarzam - to czy tak lekkomyślnie wywalałby na śmietnik stary akumulator i tak ochoczo wyrzynał resztki dziewiczej puszczy (no, to już może Kowalski w wersji Brazyliańczyka)? Prawdopodobnie troszkę by się zastanowił - bo a nuż będę „później” rzadkim gatunkiem motyla szukającym schronienia albo dzieciakiem, któremu nie zostanie nic innego niż zabawa na śmietniku? Nie chcę przez to powiedzieć, że gdybyśmy wierzyli w reinkarnację (a wiara ta często przybiera - w sposób niezamierzony zapewne - komiczny kształt w stylu hollywoodzkich historii typu: spotkał samego siebie w żeńskiej postaci, zakochał się i ma kłopot), to świat byłby lepszy. Nie, tylko z naszą koncepcją czasu coś jest nie tak. Zawsze jest jakieś „później”, czas, kiedy **osiągniemy** wreszcie zamierzony efekt, kiedy z ciemnego chaosu naszych działań wyłoni się wreszcie świetlany cel i będzie można odfajkować go jako „wykonany”. Na podstawie możliwości tego odfajkowania w bliższej czy dalszej przyszłości kwalifikuje się różne pomysły jako „nierealne”, „utopijne”, „fantastyczne”, bądź wręcz przeciwnie - jako „realne”, „prawdopodobne”, a więc z założenia lepsze. Koniecznie musi być jakiś (najlepiej wymierzalny) wynik. Zapewne dlatego nie bardzo dają się nam wytłumaczyć niektóre rytuały inicjacyjne - ostatnio widziałam rytuał inicjacyjny tak, jak sobie go wyobraża reżyser i producent schematycznego filmu trzeciej klasy. Amerykanin, który zdecydował się na to, żeby zostać członkiem afrykańskiego plemienia, musiał przejść próbę. Oczywiście próbie tej towarzyszyły Bardzo Ogromne Perypetie: Strraszna Burza na Skałach oraz Barrrdzo Groźne Skaleczenie się w Rękę. Rankiem wyszło słońeczko i czekałam tylko, aż na filmowym niebie pojawi się charakterystyczna „fajeczka” oznaczająca w notesie ludzi bardzo zapracowanych „załatwione”.

A jeśli nie ma nic do osiągnięcia i liczy się sam proces? Sama droga? Jak trudno czasem skupić się na czymś, co robi się właśnie teraz.... Zawsze jest jakieś później, kiedy będzie już „po”. I tak od dziecka uczymy się rozróżnienia na (przykry) obowiązek i (przyjemny) wypoczynek. Rzadko udaje się uniknąć pokusy, żeby ten pierwszy załatwić jak najszybciej i „mieć z głowy”, a ten drugi rozciągać, jak długo się da. Czasem też pojawiają się koncepcje „no future” (w sensie, że nie warto, bo później i tak nic nie ma) - to jest tylko lustrzane odbicie koncepcji, że efekt czai się później, ewentualnie „łap chwilę” (bo później jej nie będzie). A gdybyśmy bardziej zaufali Ziemi? Ona ma kształt kulisty. I rzeczy też toczą się kołem: wiosna, lato, jesień, zima, wiosna... życie-śmierć-życie... najkrótszy-najdłuższy-najkrótszy (dzień w roku). Niektórych zamachów tego Wielkiego Koła nie jesteśmy w stanie

spozrzeć na przestrzeni naszego krótkiego życia. Ale nie jest chyba tak, że wszystko wraca do punktu wyjścia, w miejsce koła wyobraźnia podsuwa mi raczej zbiór rozmaitych kół ewentualnie spiralę, jako że żadna zima nie jest taka sama, ani żaden najkrótszy dzień roku nie jest taki sam jak poprzedni, ani przyszła forma życia nie powtarza obecnej przyroda to nie kserokopiarka. Nie wiedzieć czemu nasz czas jest nieprzyjemnie prosty, nie ma w nim miłych zaokrągleń, ciekawych zakątków (chyba, że w powieściach SF). W dodatku traktujemy siebie w jego perspektywie jakoś tak „per noga” - bo czym jesteśmy wobec wieczności (patrzysz w jedną stronę: początek tej linii tonie w mroku, patrzysz w drugą: końca też nie widać). Tylko czasem rysuje się kółko na czole.

Anna Nacher